

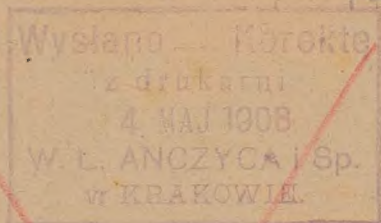
8566

Bibl. Jag.

II

02 1-4





Wieczór lipcowy był — pogodny, ciepły/
Księżyc nad pustką wyszedł pełnią
I z poza smreków, które w milczeniu zakrzepły,
Z poza stręczystych chmur/
Które się jak baranki welnią,
Zajrzał na moje osiedle...

Owiał mi duszę czar kochanych gór —
Tchnienie, o jakim śnią prastare jedy.

W te razy zaszedł urok nowy.
Ktoś w Pustce, skryty mrokiem,
Na fujarce smrekowej,
Na dziwnym, zapomnianym instrumencie
Zagrał mi dawną nutę..
Zadrgało serce, życiem strute —
I pod przemocnym jej urokiem
Zbaczyły mi się w tym momencie
Pasterskie moje czasy..
Kiedy to jeszcze stały grube lasy —
Kiedy we wierzchołkach drzew

Kołysały się orle gniazda —
[, Kiedy w uboczach rozlegał się śpiew|
Niewolący i ucho i serce
W złękniętej czarem pasterce...
Kiedy to długowłose gazda,
Jak pniak zbutwiały, siwy,
W pasterskiej, dymnej kolebie,
Przy czasie słoty,
Gdy, jak mgły ciężkie, snują się tęsknoty,
Objawiał słowem różne cuda-dziwy,
Z wieści i sam ze siebie...
Kiedy to na słonecznych polanach
Życie kwitnęło młode —
Rój młodzi krzepkiej ognił się przy sianach,
Dopieroż przy zabawie!
1/9 A śmiech, Pustota, w skwarnej tarzały się trawie,
Porwane przez swobodę...
I wreszcie kiedy przy zorzy wieczornej
[, Pasterze woły spędzali[
[, [n Z[stępując z pola[w gromadce honornej,
I na fujarkach grali...
A nuta szła w dół — na roztoki,
Na pola, mrokiem osnute...
I kiedym teraz usłyszał tę nutę,
Taki mię objął żal głęboki,
Bez dna, nieukojony,
Że łzom nie mogłem dać ustanku.
[" Coś we mnie wołało łkaniem: »Franku! Franku! [
Jakby to wołał czas miniony...

Przeszedłem poprzez ten świat,
O którym tam na polanach śniłem —
Tyle ~~niezłoty~~ lat —
Walczyłem o coś — żyłem — —

— straconych

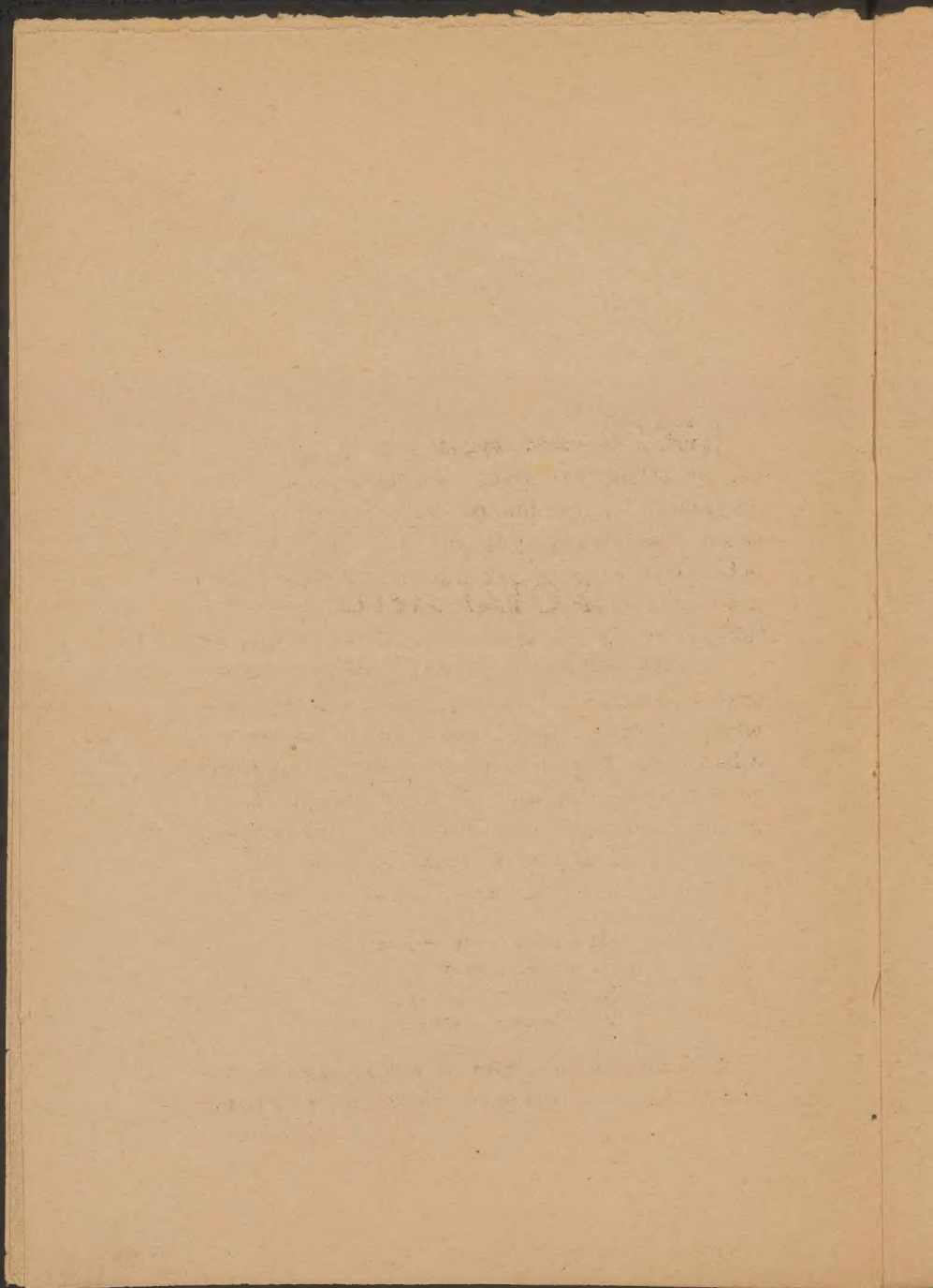
Oto powracam duszą, bólem strutą..

.....
O nuto! dawna, niepowrotna nuto!..



THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY
1000 S. MICHIGAN AVE.
CHICAGO, ILL. 60607
U.S.A.

POŁUDNIÉ



H

Jasiek z Zarebków wygnał woły na wierch Cieski, na polanę rozkoszną, schyloną jedną połacią do słońca, ku południowi. Stało mu się w sercu wesoło, jak zawdy, gdy tu wyganiał. Śródpołuń był. Słonko wytoczyło się z poza Jaworzyny i stało prawie nad czołem Turbacza, ciskając światło w roztoki, które się aż zapoczęły mglić od tej białości.

Powiódł radosnemi oczyma dookoła po słonecznych wierchach, po zamglonem na zachodzie widmie Babiej Góry, i oparł się aż na północy o lackie niziny, które poprzez sieżogę, zbłękitniałe, wydawały się rąbkiem dalekiego morza. A coś w nich, niby igły wież złocistych, lśniło. Starzy powiadali mu, że tam Kraków.

Dumą radosną porwany, zawiódł głośno:

»Hej!... jak ja se zaśpiewam
Na środku polany —
Ej — to mi odegrają
W Krakowie organy...«

Poleciało ku wierchom — zadźwięczało po bukowym lesie — rozjękło, rozniesło się po dalszych

tuboczach — i Jaśkowi zdało się, że słyszy echa dobyte z niewidzianych dalekich organów. Zaśmiał się szczęśliwym śmiechem.

Zajął woły i popędził je ku południowi w cień kraju, aby się pasły. Sam zaś legł w słońcu na polanie i, sparty na łokciu, wygwizdywać sobie począł a kerpcecm wytupywać jakąś melodyę. Po twarzy chodził mu uśmiech, niby kółka słoneczne, spadłe z gęstwy liści, a w oczach migotały ogniki lekkomyślne, zdrajce swawoli. Bo też jeno swawolne myśli mogły się płatać po tej pysznej głowie, nijaką troską nie ścięzając.

Właśnie przyszło mu na pamięć, jak to tu na tej polanie w dzień Matki Boskiej Zielnej prasnął Józkiem, co go zwią Harnym, o ziemię — w oczach Hażbiety, pasającej teraz owce w przeciwległej uboczy, na Suhorze. I jak Hażbieta śmiała się i potem już ani pojrzeć na Józka nie chciała.

Skąd mu się wtedy telo tej siły nabrało? Przecie to chłop: jak i Józek. Od kielu roków wolaruje. A tak się pysznił swoją siłą — widziało się, że niema nadeń harniejszego. I ukrócił go.

Przywodził na oczy całą tę walkę po szczyt góle: Jak się wzięli próbować za pasy, zrazu niby żartem, a potem i naprawdę. Hażbieta stała opodal i śmiała się. To mu dodało sił. Jak nie zawinię — jak nie siepnie nim — aż ziemia jękała. Spojrzał tryumfująco na Hażbietę — ta się dalej śmiała jeszcze serdeczniej.

»Hej — pociesenie moje
 Kany sie obraca?
 Popod Obidowiec
 Owiecki nawraca...«

Zaśpiewał sobie wysokim półgłosem. I, przechylając głowę w tęsknem zamarzeniu, popatrzył w stronę Obidowca — ku Suhorze. Patrzył długo, aż mu mgłą zaszła ubocz — a miał ją w oczach, jak żywą, śmiejącą się, jak wtedy. Nagle zerwał się z ziemi.

— Cy je tyz jest? Cy tyz juz wygnała?...

Podszedł parę kroków wyżej i wpatrzył się bystro ku Suhorze. Lecz las zasłonił polanę — nie widać owiec, ani nic. Jakby się tu dowiedzieć... Stał się mocno, spał się pod bok, odkrzyknął i zawiódł głośno:

— Ou ho ho ho-ho... ho-ho-ho-hu!

Zagrało potężnie — poniesło się ku przeciwległej ubocz.

Jasiek nadstawił ucha — nadśluchował,

Nieza długo przywiał cienki głos z Su-hory:

— U hu hu-hu!

Jest. Poznał jej głos odrazu. Uśmiechnął się jakby ją na oczy ujrzał. I z tej radości zawiódł:

— Hej!.. jak ja se zaśpiewam,
 Jak ja se zawiedę —
 Ustysy mie dziewcę,
 Choć najdali będę...

| o

| e

| e

Mało mu się widziało — dodał:

— Hej!... jak ja se zaśpiewam —
Puszę głos po lesie —
Pozna mnie dziewczyna,
Wiater ij doniesie...

Długo grało po lasach, po uboczach — a skoro
zcichło doznaku, przyleciało z Suhory:

— Hej!... wtedy ja cie wtedy
Chłopaku poznała,
Kiedyś bucki ścinał,
Ja owiecki gnała...

Jaśkiem aż zatrzęsło — jakby to wiatr dunął,
nie melodya tęskliwa.

— Dyc tak było. Jak sie to zda i śpiewka...
I na oczach stanęły mu te liście bukowe, na
których se ją przyniewolił, i te owce białe, które
ich obstały jako świadki...

Dużo miłośniej i jakby głosem nie swoim za-
śpiewał:

— Hej!... powiedz-ze mi powiedz,
Moja kochanecko,
Z za wtorego wierchu
Wychodzi słońceko?

Jeszcze nie zgasły echa dźwięczne, gdy od Su-
hory przywiało:

— E jakże ja ci powiem,
Kie ja nie widziała —
Słońceko wschodziło,
To ja jesce spała...

Stojąc oparty na ciupadze, ustami rozchyłonemi słowa miłe chwycił, i uczuł, jakoby ta melodia przyniesła mu zapach siana, na którym spała.

Nie miał już woli śpiewać. Obejrzał się za wołmi. Pasły się w kraju, w cieniu buczków, okalających polanę.

Leżał na ziemi do słońca i począł sobie znowu zcicha przygwizdować — ale mu nie szło. Owładnęło nim zleniwienie, zwyczajne o tym czasie. Zauważył, gdy oczyma zmęczonymi dookoła wólczył, że i woły powolniej trawę skubią — jak odniechcenia. | e

Słońce przetoczyło się z nad Turbacza ku Obiadowcowi i stało prawie na południu. Nie grzało już, ale piekło jak płomień ogniska. Gorąco coraz większe się czyniło — skwar się w powietrzu wzmacniał. Nawet liście buczyny poskręcały się od żaru i dygotały.

Jasiek leżał na trawie, jak na rozpalonej nalepie. Pomyślał, że dobrzeby było zniżyć się do cienia, ale ruszyć mu się nie chciało. Kapelusz jeno nasunął na czoło, oczy przymknął i trwał jak w drzemce. Ale światło przedzierało się przez powieki i parzyło go w sam mózg. Bawił się zrazu tem światłem, bo rozmaite mu się przedstawiało: raz białe, raz żółte, raz czerwone... Myślał przytem:

— Taką cyrwoną spodnicę ma Hażbieta. Jak z poza buczków mignie, to jakby cary jakie. Co tyz to w tem...

I teraz na samą myśl czyniło mu się słabo koło serca — jak pod urokiem. Włada go odcho-
dziła. W gardle uczuł suchość dziwną — pragnie-
nie nagłe, uprzykrzone — aż oddech tamowało.
Dźwignął się na siedzącko — popatrzył na świat —
a świat mu się jakimś dziwnym wydał, jakby go
coś przeinaczyło. Czary istotne... Każda rzecz ta
sama, a nie ta. Liście jakieś zieleniejsze — trawy
złocone — i światła, światła potoki — lić jasna...

Przetarł oczy. Woły leżą — zwiękują. Czy to
naprawdę te woły?

Zdała dobiegło żalosne wołanie kani:: »pić«!

Dumał wstać — iść ku wodzie — ale źródło
daleko, na północnej stronie. Zbaczyło mu się, że
w Potoku Skalistym jest agrest; późno dojrzewa —
może już i dojrzał. Ale i tam nie blisko. Pragnie-
nie by go odpadło, nimby doszedł.

Wyciągnął się z powrotem — gdy pragnienie
przywiodło mu na smak maliny. Są we wrębie,
w uboczy. Począł je w myśli rwać i smakować.
Przypomniało mu się zaraz, jak to mu kiedyś
Hażbieta przyniosła w podółku malin. Słodkie
były... Począł wspominać to i insze — i obraz jej,
jako żywy przedstawił mu się w oczach. Leżąc na
mchu wysokim, w słonecznej spiece, kusi go śmie-
chem, oczami i całą sobą rozkoszną...

Porwał się z ziemi — skoczył do kraju — za-
jął woły i miał je gnać ku Suhorze... ale pognął
je na stronę północną — ku wodzie.

Napoił woły w studziencie i sam się napił. Po-
tem siadł koło studzienki, a woły się po młacie
pały.

W cieniu nabrał rzeźkości — siły mu wróciły —
dumał zatem, coby tu wymanić, bo mu się cnać
poczytało. Ścinałby buka, ale nie wziął ze sobą
rąbanicy — ciupagą nic nie poradzi.

Wstał — rozprostował ręce, aż zachręściły
w stawach — spróbował-by się z kim... Ale tu po
tej stronie, widać, nikt nie pasie. Huknął w dół
ku roztoce — nikt nie odpowiedział.

I znowu idąc z wołmi pomału pasący, wyszedł
na wierch Ceski.

Słońce posunęło się nad Suhorę — śródwie-
czerz się zbliżał.

Jasiek odrazu oczy tęskne ku Suhorze zwrócił,
ale słońce nic nie dało widzieć. Zaledwie poprzez
gęstwie wpływającego ku roztoce światła las smre-
kowy majaczył.

Naraz stamtąd przyleciał znany dobrze głos,
jak wiater gorący z południa:

— Hej! przyjedź, Jasiu, przyjedź,
Abo przyplyń wodą —
E bo moje serdusko
Saleje za tobą.

Jasiek też wartko odpowiedział:

— Hej! podej-że mi rączkę
Na zieloną łąkę —

[,

E podej-ze mi obie[
Pomówimy sobie...

I zaśmiał się w sercu. Niezadługo przywiało
od Suhory, ale dużo smętniej:

| z

— Hej!... próżno ciebie, Jasiu,
Moje ocka płacą —
Jak przydę ku tobie,
Owce się potracą.

A on, jakby już dawno nosił w myśli radę,
odśpiewał z potuchą mocną:

| z

— Hej!... zezyni owce na dół,
Ja wołki zezynę —
Zejdziemy na drożkę
Popod jaworzynę...

Gdy echa pocichły, nadśluchował pilnie. Za
chwilę dopiero ozwał się, jak granie najmilsze:

— Hej!... dyć to już śródwiecz, —
Minęło południe —
Kochaj mnie, Jasieńku,
Ale nie obłudnie...

Roześmiał się serdecznie, jakby ją miał przed
sobą — z miłością w oczach i z tem zastrzeże-
niem. I głosem, w którym uśmiech drgał jeszcze,
odśpiewał:

— E nie bój-ze sie, nie bój,
Dyć ja przecie nie zbój —
Nie zbój, nie zbójniczek,
Ino pacholicek.

Stał cicho i słuchał, czy mu jeszcze słów ja-
kich nie przyśle. Za chwilę odzew jeno przypadł —

krótkie: »U-hu-hu-hu«! Zmiarkował po głosie, że mu je już z uboczy przestała. »Zgania owce« — powiedział sobie radośnie. Czempředzej zajął woły i gnał je w roztokę — naprzeciw. Z lasu już posłał odzew.

Przedarł się z wołami przez buczynę i gnał rzadkim lasem. Gałęzie jeno pod nogami trzeszczały, i odzywało się niekiedy w głowicach drzew gruchanie gołębi.

Przechylił się na drugą stronę zbocza i posłał odzew Hażbiecie. Naraz, jakby w odpowiedzi, dobiegł jego uszu śpiew żałośliwy, cienki — od strony innej — ze Spalonego:

— Ej, nie wierz chłopcu, nie wierz,
Choćby w ogniu leżał.

Dalsze słowa straciły się w żałości. Poznał odrazu głos Tekli, którą łośńskiego roku na Spalonym, pasąc z nią woły, przyniewolił sobie, a potem jej odniepadł dla Hażbiety.

Widząc, że go poznała z daleka po głosie, i że jemu tak śpiewa — odrzucił z pyszna swawolnie:

— Hej, dawniej tom cie widział
Bez dziesiątą ścianę —
Dzisiaj cie nie widzę,
Choć przy tobie stanę.

Na to przywiało ze Spalonego:

— Ej, pamiętaj se, Jasiu [
Stanies na sąd boski —

Bedzie on ci, bedzie,
Mój wianeczek gorzki...

Już nie odpowiedział. Natomiast wartko zawrócił woły i przesłonił się od tej strony zachyleniem leśnem. Gnał jakiś czas w milczeniu — o skoro widział, że się już dość od Spalonego oddalił — począł sobie przygwizdywać dla śmiałości serca i potuchy. Już też zbliżał się ku roztoce... Tu doleciał go — już z niedaleka — szukający go głos Hażbiety:

12
10

— Moje pociesienie!
Na który jest stronie?
Cy na ty, co i ja,
Cy się ze mną mija?...

.....

Słońko już dobrze schowało się za wierch Tobołowa, i mrok zakradał się w roztoki, gdy w uboczy pod Suhorą zadźwięczało przy smętnem turlikaniu owiec:

— Hej!... już się zachmurzało,
Kany świtać miało —
Juz moje kochanie
Z wiatrem poleciało...

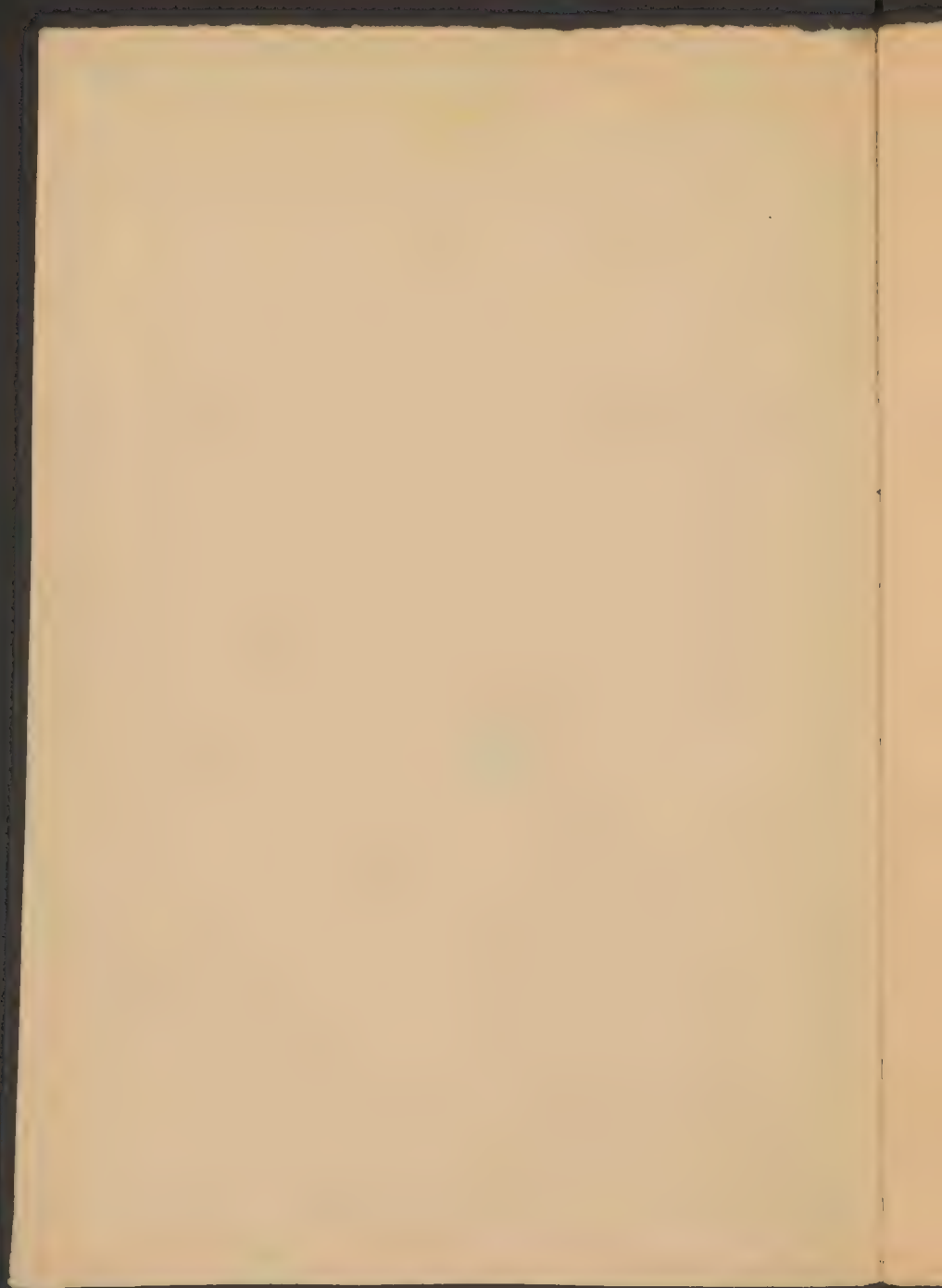
12

A od Spalonego poniosło się żałośliwe śpiewanie ku Cesce:

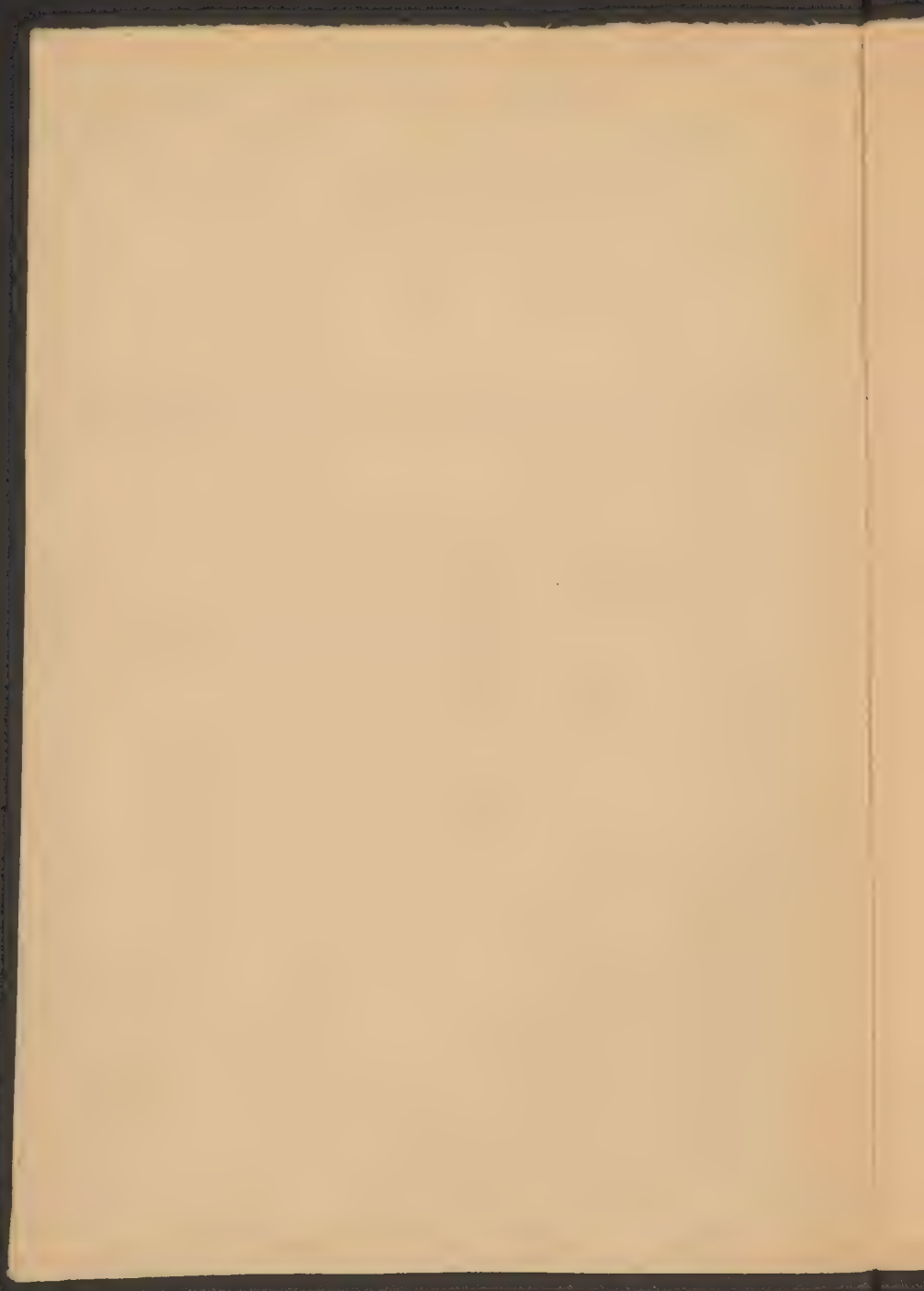
— Hej!... bodajby cie było
Na świecie nie było —
Nie widziałabych cie,
Nie żałby mi było...

A Jasiak ze Zarębków gnał napasione woły
ku kolebie i przygwizdywał sobie — po twarzy
przebiegał mu uśmiech lekkomyślny, a w oczach
migotały ogniki swawolne.





JAK JÓZUŚ CHCIAŁ,
A JAK MU WYSZŁO



Józuś, Miecusiów syn, z pod hal od Dunajca, ukończył szkoły w Krakowie i na wakacjach w chałupie u ojców bawił. Nie wiedział jeszcze, gdzie się na przyszły rok obróci: — czy na doktora pójdzie, czy na księdza, czy też na sędziego. W domu najbardziej by radzi byli, żeby na księdza poszedł. Nie powiedzieli mu dotąd wyraźnie, ale ze wszystkiego miarkował, że tak myślą; matka już drugi tydzień na tę intencję nowennę odprawiała.

Józuś do żadnego stanu wyraźnego powołania nie czuł, najmniej zaś do duchownego; ale czuł, że się oprzeć nie potrafi, skoro go poczną nakłaniać... Zmęczoną głowę miał po ośmiu latach nauki, i najchętniej by się niczem nie zajmował, jak oto w tym czasie. Całymi dniami wałęsał się bez celu, wysypiał się w sadzie do słońka i chodził między ludźmi osiedla jak śpiący. Tyle, że czasem do kościoła, przez matkę przynukany, poszedł, księdza proboszcza odwiedził — ale i to czynił bez ożywienia, jak w śpiączce.

Matka przepomagała się, by mu jeno w jedzeniu dogodzić; jajeśnice mu co rano smażyła, za-

cierkę z białej mąki na mleku gotowała, poddawała mu, co mogła; i Józus wnet stracił bladłość przyniesioną z miasta, przybyło go na gębie, wyglądał, jak ryz bukowy.

A że w próżnowaniu i przy dobrem jadle zwykły różne myśli przychodzić do głowy — więc i Józusiowi przyszła myśl: pójść ku szałasom, na hale... Zbaczyły mu się owce, siano, pasterki, śmiejące się takim śmiechem, który aż łaskocze... Tu pracujący ludzie przeszkadzali mu — tam mu już nikt nie przeszkodzi.

Najbliższe szałasy były na hali Choczołowskiej. Tam też Józus poszedł.

Pasterze i pasterki przyjęli go ochotnie, bo znali go od mała — niejedno lato z nimi pasał. Po paru dniach oswoili się z nim, i Józus wodził się z pasterzami, jak za dawna.

Znużenie opadło z niego, jak kurz, gdy wiatr zdmuchnie. Nie na marne też wyszły podbiady, dawane przez matkę. Ku pasterkom się z przyśmiewkami zwracał — te zaś prześmiewały się z jego nauki.

— Tyle-ś casy w tych skołach był, i co ci naucyli? Śpiewki-ś pozabacował..

— To se przybacę — starał się mówić w ich sposobie.

— Może w seminarii? Tam by ci dali! Mse świętą kazą ci śpiewać..

— Coz to zawadza?

— A to, że teraz ci już o świeckich rzeczach nie trza myśleć.

— Widzis, zebrału, ani na wesele nie bees mógł iść, ni na družbę...

— A das mi, Józus, ślub, jak księdzem останiesz?

— Dam ci, z jaką paradą! Ino pockaj.

— A kie-z to będzie? Za rok, dwa? Bo mi sie śpieszy.

— Coz ci tak pilno?

— Gadał mu ta o tem, kie on już jak ksiądz. — Jakże ty zebrału wytrzymies? Tak całe życie bez grzychu...

— Haj? od czegoz gospodyni? — pytała insza.

— Kie Józus ta nie taki... On już dziś jakby wyświęcony. Ino mu kółko na łbie wystrzydz...

— Wiera tyz będzie ksiądz z ciebie! Ino tu prymicye zrób — pamiętaj, coby my sie wytańczyli...

Józus wstydził się tego przyszłego księdzostwa. Chciał im koniecznie pokazać, że on nie taki święty, jak myślą.

Najuparciej prześmiewała się z niego Kundzina Jewka od Królów. W zamian za te jej prześmichy począł ją śmiało słowami napastować. Nie gniewała się o to bynajmniej; to też Józus ośmielił się tak, że gdy jednego popołudnia przystali na chwilę sami na polanie, zagadnął prosto:

— Kaz ty legas?

Wiedział dobrze, że nocowuje przy kopach na sianie.

— E? — przedrzeźniła — cozes taki ciekawy?

— Bo bych przysed ku tobie.

— To przydź — kto ci broni?

Józuś uszom swym nie chciał dowierzać.

— Naprawdę byś mnie przyjęła?

— Jakże? Dy nie na śpas...

I zaniesła się śmiechem, który Józusia więcej niż słowa przekonał. Jak to dziwnie łatwo! — pomyślał sobie w radosnem zdziwieniu — że ja też, głupi, nie wiedział..

Przez cały ten odwieczny czas se nie mógł naleść z niecierpliwości krwi, myślą pokusną rozgrzanej. To do koleby zabiegał, to z pasterzami po hali się wodził, to za owcami uganiał — a wszędy za nim szedł śmiech Jewki, raje obiecujący. Na samą myśl tych rajów aż Józuś omglewał w ciebie.

Nigdy dotąd podobnego uczucia niedoznawał. Choć miewał już różne. Kochał się w błękitnych pannach, spotykanych na nabożeństwach majowych, potem w kulawej córce pani, u której dwa roki mieszkał: były to miłości straszne — do »aniołów«; myślą bał się ich sukien dotykać. Później czystość swoją tracił w ofierze Lilith nieznaney, nago już w marzeniach śmielszych widywanej, aż stracił ją zupełnie w jakiejś ohydnej miejskiej norze, gdzie go po maturze pijanego koledzy zawlekli. Prześladowało go to przypomnienie, lecz jako sen przykry, niewyraźny. A oto teraz, tej nocy, ma się stać rzeczywiście, o czem śmiał śnić jeno..

I to naprawdę! bez żadnych ocyganień! Józus! czy ty nie zwaryjujesz pierwszej! — mówił sobie.

Miał wciąż na oczach Jewkę: jej postać krzepką, o twarzy ciemnej, przez którą ogień krwi przeświecał, z iskrami oczu, z rzędami białych ząbków; o włosach czarnych, splecionych w długie warkocz, i piersiach, wyraźnie wzdymających katanek we dwa wzgórki... Aż oczy mglily mu się na myśl o tych wzgórkach — odsłoniionych.

Wyobrażenia rozpalona nawodziła mu na zmysły obrazy noclegu, jaki chyba bogowie pogańscy mieć mogą. Z Jewką — przy kopie — na sianie!... Wszystko wobec tego wydawało mu się nudnem, nie wartem jednej uwagi. Całe życie jego dotąd nie miało — widział — sensu. Po to się trudził lat tyle, po to się uczył łaciny i greki, by oto zrozumiał wreszcie, iż jedno jest dobro, jedna mądrość: ujrzeć się z Jewką na sianie.

Nadszedł wieczór. Józus i wieczerzy jeść nie mógł — telo szczęściem czuł się napasiony. A wieczerzali pospólnie w kolebie. Za Jewką jeno oczami wodził, chwycił jej uśmiech każdorazny, jej spojrzenia — chciał się już upewnić w sercu, bowiem, im bliżej czuł się obiecanych rajów, trwoga go napastowała.

Wnet po wieczerzy poczęli się pasterze rozcho-
dzić na spanie — każde do swoich kóp.

Józus ze drżeniem zbliżył się ku Jewce.

— Jakże będzie?

— Z cem?

— Ze spaniem... Cy mam przyjść ku tobie?

— Jak fces — zaśmiała się. I, zaodziałwszy chustkę, poszła na halę wyżnią, gdzie nocowywał.

Józuś został w kolebie, że starym Szymkiem, z którym tu legiwał. Skoro po jakimś czasie Szymek zabierał się do spania i klęknął do pacierzy, Józuś skierował kroki w pole.

— Pójdę wyrzeć na miesiąc, czy wyszedł — rzekł w progu. Czuł tym razem potrzebę wytłomaczenia, dlaczego wychodzi. Szymek nie odrzekł nic, mówił pacierz.

Halą wyżnią nazywano skrawek równy w końcu halli, wyżej położony. Stamtąd widok był otwarty na wschód i na zachód. Tam Józuś skierował kroki. Idąc, dygotał całym ciałem, choć wieczór był ciepły — wzruszenie, nieznane dotąd, trzęsło nim, jak złodziej gruszą.

Skoro na halę wyszedł rozejrzał się z uwagą, by nie zmylić. Księżyc wychodzący ledwo rozwiśniał polanę. Na środku stało kilka kóp. Poboku jednej dojrzał postanie i chustę ciemną. Zbliżył się z dygotem serca.

— To ty Jewciu? — szepnął, stając nad postaniem.

— Ja. Coz fces?

— Przysedech ku tobie.

— To łąz.

Józuś czuł się, jakby go do nieba wpuścili. Rozpatrzył się po posłaniu i legł skraja, obok Jewki. Chwilę spoczywał cicho. Zbierał w sercu odwagę, oswajał się z rzeczywistością. A bokiem z ciekawością pozierał na Jewkę. Leżała na wznak, chustką owiniata, twarzą ku niebu.

W pobrzasku miesiąca widział jej przyciemniałą twarz, oczy otwarte, wpatrzone w gwiazdy, błyszczące. Wydała mu się jakąś lnszą, poważną, prawie że surową. Onieśmienie poczęło ogarniać Józusia, gdy patrzył w nią, tak w niebo wmyślona.

— Gwiazda spadła... — szepnęła.

Józuś spojrział na niebo za jej wzrokiem, i znów ku niej powrócił oczyma. Nieznacznie przysunął się. Dygotał jak w febrze.

— Cy ci zimno? — spytała.

— Nie...

— Tak sie trzęsies. Może ci dać trok chustki?

Odwinęła chustkę. Józuś podjął trok i skwapliwie się przysunął.

— Ciepłej ci?

— Ciepłej.

— To śpij. Abo patrz na gwiozdy. Widzisz, co ich hań... Jak iskry rozsiane. Więkse i mniejsze, i mało co widne... O — jak sie mienia... Z czego one tyz będą? nie wiesz? co? Jak was tam w szkole ucylili?

— To są światy, takie, jak nasa ziemia...

— Głupl... światy... mniejsze od śpilki.

— Bo daleko, to sie widzą małe.

— Dzieciom gadaj se takie bzdury, nie mnie.

Jednak ciekawe słowa Józusia nie dawały jej spokoju; myślała o nich, zapatrzona w gwiazdy... Józus zaś nie miał ochoty wyklądać jej astronomii. Chciał, by teraz o jego szkołach zapomniała, by brała go jak pasterza.

— To uca, ze tak daleko... — rzekła po chwili.

— Co ci ta o to... Śpijmy lepiej.

Przysunął się ku niej poufale.

— To śpij. Cy ja ci bronię? — odsunęła się — Mas doś miejsca.

— Kie ja chcę z tobą..

— Dyć ze mną śpis.

— Ale...

— Co za ale? Jak ci nie dobrze, to idź.

Patrzyła dalej ku niebu, a Józus, onieśmielony, pozierał na nią i czekał. Oczy jej pomału zaczęły zwężać — sen ją nachodził.

— Jewka...

— Co?

— Jewciu...

— Dyć słysę.

— Jewusiu...

— Coz ta jesce? Śpij, bo juz cas.

Józus nabrał w serce odwagi, wyciągnął rękę pod chustę i spartł dłoni na jej piersiach. Nie bro- niła mu, spytała ino:

— Musis tu rękę kłaść? nie uśniesz inacy?

A Józus, czując pod palcami wzgórkę ciepłą, wznosząc się oddechem, rady sobie już nie mógł dać. Począł dłoń rozpaloną w zamroku pożądania przesuwać po jej młodem ciele. Ujęła mocno tę dłoń jego i odepchnęła.

— Leż spokojnie — rzekła ostro.

Ale Józus już na nic nie dbał. Płomieniał cały pragnieniem. I śmiałości strasznej nabrał: Przecie go sama wołała... Cisnął się rozpalonem ciałem ku niej. Objął ją mocno rękami i począł szeptać słowa urywane: prośby, tkliwości, zaklęcia...

Krótko to trwało. Ani pół pacierza. Porwała się, odwinęła się z rąk jego niby z trawy leśnej i odrzuciła go na siano, jak smętla słabego.

— Coz tobie sie bazy, moi ludzie? To cie tego tam ucyli?! A spytałeś sie mie choć, cy cie kocham?

Poczem złagodziła nieco:

— Jakbych cie kochała, to co inzego. Ale co ty wies o tem.

Józus ledwo się osatał ze zdziwienia przykrego i z upokorzenia.

— To po co-ześ mie wołała na siano? — rzekł w gniewie.

— Na sianie kazdy spać moze. Miejsca doś. I nikt nie broni... Ale widać juz, ześ miasto przesed... No łąz-ze, łąz — dodała pobłaźliwie — nie smuć sie...

Ale Józus ani myślał ostać. Porwał się w zło-

ści z posłania, poszedł po polanie aż na drugi koniec hali, tam długo siedział na pniaku i różne myśli przeżywał.

Skoro, Józus, późnym już czasem wchodząc do koleby, skrzypnął drzwiami, Szymek stary podniósł kosmatą głowę z posłania i, rozespany, spytał:

— Jakoz ta ten miesiącek.., wysed?



SCHRONISKO

SCHEIDT

